

Inżynier Szubin jest zdolnym architektem, jego żona, Tania — cenionym chirurgiem, a „ta trzecia” Marina — przy zwoitą dziewczyną. Jednym słowem wszyscy troje to porządni ludzie, uwikłani w konflikt małżeńskiego trójkąta. W końcu Tania znajduje partnera w osobie inżyniera-literata Somowa i sztuka Michałkowa pod tytułem „Ostrożnie, liście opadają” kończy się pozornym happy endem.

A co z dziećmi — pyta kołchozowa chłopka, która oglądając spektakl w teatrze stolicy, szuka na scenie nie tylko rozrywki, ale i oparcia w rozplątaniu spraw życia. Siedzący przede mną starsi państwo, moskowiczanin, pochwalają niejednoznaczną wypowiedź utworu. Autor nie broni jednolitości życia osobistego i społecznego za wszelką cenę, nie poucza, nie wystawia recepty na szczęście. Niedopowiedzenia ma dopełnić widownia. I widownia zawzięcie dyskutuje.

Współczesna literatura radziecka często ukazuje małe, ludzkie dramaty, sięga po tak zwane wieczne problemy moralne. Jaki powinien być człowiek doby socjalizmu? Jaki będzie człowiek jutra?

„Konstruujemy statki kosmiczne, a nie zawsze potrafimy zorganizować sobie własne życie” — powiedział mi pewien ekonomista w średnim wieku, którego młodość upły-

Alicja Zafrębowa

CZŁOWIEK NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI

neła na ustawicznych wyrzeczeniach. Jego pokolenie, zapatrzone w nowy, lepszy świat, umiało rezygnować z prawa do dobrobytu. Charakterystyczny dla dzisiejszych stosunków radzieckich o wiele już wyższy wzrost stopy życiowej nie powoduje takich rozbieżności między interesem jednostki a społeczeństwem w dziedzinie podziału dóbr materialnych.

Razem z teorią o zaostrzeniu się walki klasowej zniknęła wzajemna nieufność między ludźmi. Na ulicy, w pociągu — ludzie mówią szczerze. Nie boją się. Panuje swoboda wypowiedzi sądów na wszelkie tematy. Ceniąc dostatek i rozszerzając się wolności obywateli radzieckich nie popada jednak w tani optymizm. Widzi ujemne zjawiska w ży-

ciu społecznym. rutynę, zrzędniczenie, efekciarstwo.

W barze mlecznym, na peryferiach Moskwy, zobaczyłem wypisany wielkimi literami „Kodeks moralny budowniczych komunizmu”, sąsiadujący na ścianie ze spisem potraw. Przyznaję, że zestawienie wydało mi się co najmniej niestosowne.

„Praca — to potrzeba, praca — to szczęście, praca — to duma”. Kodeks stawia na pierwszym miejscu poszanowanie pracy, która ma stać się równie nieodzowna jak jedzenie, wdychanie tlenu. W nowej formacji społecznej absolutnie straci sens przysłówie: człowiek człowiekowi wilkiem. Węć może rozmyślania nad przyszłością świata przy szklaneczkach kefiru nie są znowu tak bardzo niestosowne?

Komunizm fascynuje wyobraźnię. W sowchozie, który powstał na utożsamianiu z kazachstańskim stepem, rozmawialiśmy — dla odmiany przy szklance „osoboj moskowskiej” — o życiu za dwadzieścia lat. Ile jeszcze trzeba zrobić — zastanawiali się gospodarze i z ołówkiem w ręku wyliczali tony pszenicy i mięsa. Są głęboko przekonani, że przekształcą program zbudowania komunizmu w realny fakt. Nasi wnukowie — powiadają — będą mogli zamawiać na zawołanie kosmiczną taksówkę. Dobrze, a ile wódki przypadnie na głowę w komunizmie? — zażartował jeden z mężczyzn. Jeśli komunizm polega na zaspokojeniu wszystkich potrzeb... Rozumnych potrzeb — wtrąciła kobieta, która za skarby świata nie tknie kieliszka. Dalsza dyskusja obfitowała w cytaty z klasyków marksizmu, a zakończyła się dość nieoczekiwanym stwierdzeniem, że bądź co bądź łatwiej zdobyć Księżyc, niż idealnie pogodzić osobiste obowiązki i pragnienia z nurtem życia społecznego.

Problemy obyczajowości i moralności znajdują się nieustannie w centrum zainteresowania opinii publicznej. Purytański ideał pozytywnego bohatera został skazany na zapomnienie. Nikogo dziś nie wyrzuca się z komsomolu z powodu „bikiniarskiego” ubioru. Nie można stosować rygorów mieszczańskiej przyzwoitości pod hasłem nowych norm moralnych — stwierdza komsomolski działacz z Celinogradu, ubrany od butów po kapelusze według kanonów ostatniej, europejskiej mody.

Młodzi ludzie zapytani o najważniejsze, ich zdaniem, cechy człowieka epoki komunizmu, odpowiadali: skromność, prostota, poczucie koleżeństwa i przyjaźni, ofiarność, jeśli zajdzie tego potrzeba. Generacja nie obciążona przeszłością, nie cierpi wzorem ojców na niedosyt bohaterstwa i wyrzeczeń. Rozumuje bardziej racjonalistycznie. Absolwent moskiewskiej uczelni, który zgłosił się do pracy w zapadłym sowchozie na Nowej Ziemi, dobrowolnie zamieniając dobrodziejstwa wielomilionowego miasta na warunki na pół obozowe, nie uważa się za bohatera. Swoją decyzję traktuje jako najzupełniej naturalną.

Jaki powinien być człowiek epoki komunizmu?

piel (bez chwili namysłu). Ubranie pozostawione na brzegu (bardzo to lekomyślne). Poprzez przeźroczystą wodę widać głęboko — dno. Nie ma rekinów. Zachowuję się, jak stukilowy morski zwier. Fale rzucają mną w pobliże ostrych skał. Dalekie Morze Śródziemne pełne blasków, równe, gładkie. Po trzydziestu minutach wychodzę z wody. Skradam się w stronę ubrania, pozostawionego zbyt daleko. Jestem podobny do posągów bogów z florenckiego muzeum. Posągi bogini połyskiwały tam szczególnie nagiśniami. Po pięciu minutach jestem już ubrany i... zostaję aresztowany. Uroczy milicjant w czarnym stroju, z szabłą i napoleońskim „pierogiem”, z czerwonymi lampasami i w śnieżno-białej koszuli — prowadzi mnie na posterunek policji miejskiej. Nic nie wiem, nie nie rozumiem. Na rynku — wokół mnie zbiegowsko. Mam mokre, rozczochrane włosy. Stale jest mowa o tym samym: — 2 tysiące lirów grzywny mam płacić!

Mieczysław Skąpski

Jeden znaczy dwa tysiące

O becnie rocznie opuszcza mury naszych wyższych uczelni około 20 tysięcy absolwentów. W 1980 roku powinniśmy mieć rocznie ponad 70 tysięcy absolwentów, jeśli chcemy podołać zadaniom określonym w planie perspektywicznym. Do tego celu można zmierzać wieloma drogami: utworzyć nowe uczelnie, rozbudowywać istniejące, zwiększać liczbę miejsc w domach studenckich, zwiększać kadre naukowe, itp. itd. Wszystkie wymienione drogi wymagają drobności — wielkich inwestycji i długiego czasu. I zapewne bez tego się nie obejdzie. Jest jednak jeszcze droga, zbyt rzadko dotychczas uczęszczana, mianowicie poprawa sprawności nauczania.

Obliczono, że poprawiając wyniki nauczania tylko o 1 procent, otrzymujemy w skali krajowej o około 2 tysiące absolwentów szkół wyższych więcej każdego roku. Ponieważ zaś z roku na rok zwiększa się liczba studiujących, przeto ten 1 procent oznacza co roku liczbę wzrastającą.

Jeszcze wymowniej wygląda ten problem, jeśli dodać, że w kraju spośród studentów przyjmowanych na I rok studiów dziennych, kończy te studia około 60—65 procent. Na studiach zaocznych „wykrusza się” jeszcze większy odsetek słuchaczy. Jak więc widać, w poprawie wyników nauczania tkwią ogromne rezerwy, których wykorzystanie pozwoli uzyskać dodatkowe tysiące tak poszukiwanych specjalistów z wyższym wykształceniem i to uzyskać właściwie bez żadnych dodatkowych nakładów.

Przejdźmy teraz do spraw poznańskiego ośrodka naukowego. Nie unikniemy tutaj znowu przytoczenia szeregu liczb, które wydają się bardzo interesujące. Liczby te pochodzą z roku akademickiego 1960/1961; danych, obejmujących cały ośrodek poznański z ostatniego roku nie udało się nam znaleźć.

Gdzie najwięcej „ofiar”?

Jak można było oczekiwać, najwięcej ocen niedostatecznych „łapią” studenci I, II i III roku studiów, przy czym swoje rekordy biją studenci Politechniki (24 proc. ocen niedostatecznych w stosunku do liczby egzaminów). To nie musi znaczyć, że na Politechnice jest najgorzej, może natomiast oznaczać, że jest tam najtrudniej.

Popatrzmy teraz jak w tymże roku wyglądał odpad (czyli rezygnacja z dalszych studiów) oraz odsiew (czyli wyeliminowanie ze studiów na skutek obłanych egzaminów). W

skali całego środowiska odpad wynosił w sesji zimowej 269 (z czego na I roku 177), a odsiew 356 (z czego na I roku 153). W sesji letniej natomiast odpad wyniósł 299 (na I roku 197), a odsiew 730 (na I roku 325). Tak więc widzimy, że najwięcej „ofiar” pada na I roku studiów, zarówno tych odsianych przez profesorów, jak i tych, którzy sami dochodzą do wniosku, że nie dadzą rady bądź, że popełnili pomyłkę i ustępują z placu boju.

Znaczący przecież, że wielu młodych ludzi było po prostu źle przygotowanych do studiów przez szkołę średnią, że fałszywie wybrali kierunek studiów, bądź też — mówiąc studenckim żargonem — bimballi sobie z nauki i dyscypliny i nie uzyskali dopuszczenia do sesji egzaminacyjnej. To są bowiem główne przyczyny odpadu na I roku studiów.

Sprawność nauczania najlepiej obrazują liczby dotyczące przyjętych na studia oraz absolwentów, którzy spośród nich po latach wyrośli. No i stwierdzenie, czy ukończyli oni studia w terminie będzie nas też interesować.

Studenckie losy

O tóż pragniemy tu przedstawić losy młodych ludzi przyjętych na studia w roku 1956, którzy opuszczali mury uczelni poznańskich w roku 1961. A więc w skali całego poznańskiego środowiska wyższych uczelni przyjęto w owym roku 3047 młodych ludzi na studia. Spośród nich terminowo ukończyło studia 1053 czyli 34,6 proc. Prześledźmy te dwa wskaźniki na wszystkich uczelniach. Oto na UAM terminowo ukończyło studia 44,8 proc., na Politechnice Poznańskiej (25 proc.), na Wyższej Szkole Rolniczej (54 proc.), na Akademii Medycznej (37 proc.) i na Wyższej Szkole Ekonomicznej (24 proc.).

Nie trudno zdać sobie sprawę z powagi sytuacji. Łatwo wyrazić zdziwienie, dlaczego akurat tak kształtują się owe procenty na poszczególnych uczelniach. Dlaczego jednak na przykład najniższą sprawność nauczania wykazuje WSE, a najwyższą WSR, choć wydawać by się mogło, że mniejsza sprawność może być usprawiedliwiona na studiach, obejmujących masę ćwiczeń i zajęć laboratoryjnych? Takich zajęć jednak na pewno jest więcej na WSR niż na WSE. Z kolei niska sprawność Politechniki, jest społecznym szczególnie niekorzystnym zjawiskiem, boć przecież tam właśnie studia są najdroższe. Każdy przeto odrzucony student oznacza — poza

Dokończenie na str. 3



Rys. — E. Pruska

Gerard Górnicki

Capri czyli dzika świnia

Z włoskiego notatnika

Nazwa wyspy wywodzi się z greckiego słowa — kapros — (dzika świnia). O tym naprawdę nie wiedziałem przed wyjazdem do Italii. Znałem natomiast podanie łączące się z najpiękniejszą fontanną rzymską (Fontanna Di Trevi), mówiące, że podróżny, który w czasie bytności swej w Rzymie, napije się wody z tej studni lub wrzuci w nią pieniądź — znów wróci do Rzymu. Ale nie znałem faktu, który zdarzył się w lipcu ubiegłego roku i poruszył całą opinię „wiecznego miasta”. Miała go napisać pewna studentka duńska, nie obawiając się Neptuna, słojującego nad turkusowymi wodami fontanny w towarzystwie dwóch dziewczyn — alegorie urodzaju i zdrowia — wykapłała się w upalne południe, nago na oczach owego Neptuna i przechodniów. Zapłaciła wysoką grzywnę i wielce była obrażona na włoską policję, twierdząc, iż wstydyści powinni się ci, którzy na nią patrzyli.

Piątego dnia pobytu w Italii (po Florencji, Pompei i Sorrento) — wcześniej reno, w zimnie, wsiadłem w Porio Beve-rollo (Neapol) na stateczek „Santa Maria” (imię mojej żony prześladowało mnie i później) — i odpłynęłem w stronę wyspy. Nic nie wskazywało na jej zdrowy klimat, wysoką temperaturę powietrza, jasne niebo i przeźroczyste wody morza. Ubrany byłem, jak w podróż na biegun. Miałem rację. Myślałem o dobrych radach kuzynów. Rozglądałem się i zachłannym wzrokiem

śledziłem okolice Zatoki Neapolitańskiej, otoczonej skalistymi górami o fantazyjnej formie. Oczywiście, Wezuwiusz o niezmiennym, granatowym kolorze z kokardą białego dymu. Po osiemdziesięciu minutach — miniatury port pasażerski — Marina Grande. Wspinaczka wąskimi uliczkami (szerokości 1 metra), wśród murów i drzew cytrynowych — w kierunku niewiadomych jeszcze. Wokół — nasze Czerwone Wierchy u samych swoich koron. Słońce — Rynek miasteczka Capri wielkości czterech pokoi. Wschodni styl kościoła i domów. Odczuwam ciepło, wewnętrzna gorączka — pod wpływem nagłej emocji i świadomości pobytu na wyspie — skacze we mnie gwałtownie do góry.

Mam tylko pięć godzin czasu. Jazda szosą, ułożoną na ścianie wysokiej skały. Anacapri (miasteczko), Villa S. Michele, Villa Jovis na górze Tyberiusza, rezydencja cesarza, potem Grotta Azzurra (la lazurowa, moje dziewczęta!). Widok ze wszech stron na górę Solaro (589 m). Powrót do Capri. W autobusie dziewczęta o algierskiej urodzie. Z głównego przystanku — pieszo — przez Via Vittorio Emanuele — między wspaniałymi, opustoszałymi hotelami. Dzieci proszą o parę lirów. Ogrody Cesarza Augusta — kwiaty, pomarańcze, cytryny (kolorowo). Wysoko pod niebem — zamek. Domy z kopułami i minaretami — białe. To już Marina Piccola — gorąca zatoka. Niebo blade nad jej niebieskimi wodami. Od skał bije w twarz — upał. Pustki. Woda jak grzana. Ką-

Nawet nie pytają o dokumenty. Moja osoba ich nie obchodzi, tylko mój czyn przestępczy. Rozkładam ręce i usmiecham się do uradowanych mieszkańców Capri. Szyderstwo. Za co tak cierpię? Patrzę w słońce, ciepłe i białe. Wiatr lelni osusza moje zesztywniałe włosy. Doprowadzam wszystkich moją bezradnością i obojętnością nagłą — do współczującego milczenia. Nagle krzyklywym głosem mówię zawzięcie: — sono Polacco (jestem Polakiem). A Polacy — to walki Garibaldi, to Monte Cassino. Rozumiecie? (W myśl dodać: — bo wam dam w...!). Cisz, nikt nie mówi. Patrzę. Wówczas ten z karabinierów, który miał dotąd surową minę, uderza mnie z całej siły dłonią w plecy, aż mną rzućto do przodu i na cały głos: — Bravo, Polacco! Bravo! Zebrani ludzie klaszczą. Kierowcy samochodów naciskają klaksony. Wrzawa i radość...

Uczesałem powoli włosy, zmrużyłem oczy, poprawiłem krawat. Wyniosłem po-

dałem dłoń karabinierowi — na pożegnanie. Zjadłem obiad (850 lirów). Zwiadziłem miasteczko. Wróciłem przez ów rynek, na którym mnie sądzono za pogwałcenie obyczajów — do portu. Napisałem kartkę do domu o treści: — „Jestem zdrow, woda i słońce — pyszne. Jutro do Rzymu, po drodze Monte Cassino. Sciskam Was”. Tam widocznie Duńczyków nie było, „biedna” studentka z Kopenhagi zapłaciła parę tysięcy lirów grzywny. Jestem dobrej myśli, wkroczyłem w bramy Italii...

Ale piszę szczegółowy pamiętnik, chronologicznie: Poznań — Katowice — Breclaw — Tarvisio — Florencja — Neapol — Capri — Cassino — Rzym — Watykan, Bolonia — Mediolan — Padwa — Wenecja — Udine — Wiedeń — Katowice Poznań. Dni bardzo mało: dwadzieścia. Pieniądzy też niewiele: siedemdziesiąt pięć tysięcy lirów. Dużo strachu, zmęczenia, wrażeń i serdeczności ludzkiej — obfitość...

DYSKUSJA ♦ DYSKUSJA ♦ DYSKUSJA

„Gdzie poznański realizm?” — brzmiał tytuł artykułu Piotra Życkiego, który zamieściliśmy w „Głosie Tygodnia” z 18 listopada. Autor w nakreślonym kontrastowym barwami felietonie, prowokował do wypowiedzi na tematy, związane z ostatecznym uporządkowaniem poznańskiego śródmieścia, poddawał w wątpliwość, czy akurat najpilniejszą sprawą jest np. budowa dwujezdniowej ul. Grunwaldzkiej itp. Przy okazji P. Życki poddawał pod dyskusję następujący problem: czy należy, nakreśliwszy koncepcję nie na miarę naszych możliwości — odwlekać w nieskończoność jej realizację z prozaicznej przyczyny braku odpowiednich środków — czy może wyznaczać cele mniej wiekopomne, za to realniejsze do rychłego osiągnięcia.

...I z wyobraźnią

Przyzwyczailiśmy się już do schematycznego portretu przeciętnego poznaniaka, o na ogół dość jednoznacznej wymowie, kreślonego od czasu do czasu głównie przez przybyszów. Jest to ostatecznie zabawa taka dobra jak inne — nie ma więc o co się gniewać. Nowością jest próba przedstawienia metamorfozy w mentalności mieszkańca „grodu Przemysława” i w dodatku piórem „podwarszawionego” krajana. Mam na myśli kolejną „zapisk z rzędu” Piotra Życkiego pod obciążającym tytułem „Gdzie poznański realizm?”.

Już pobieżna lektura felietonu każe nam, niestety, traktować problem owych przemian jako pretekst do gorzkich uwag autora na temat braku realizmu raz w koncepcjach urbanistycznych, drugi raz w polityce władz miejskich. A szkoda. Dyskusja o zmianach systemu myślenia poznaniaków mogłaby wreszcie położyć kres wspomnianemu na wstępie schematyzmowi w portretowaniu moich krajaków. Mało tego. Nie bardzo rozumiemy, co ma wspólnego przeciętny poznaniak z projektowaniem tras komunikacyjnych, zabudowy fragmentów miasta i lokalizacji nowych obiektów?

Przejdźmy jednak do wywodów autora. Krytyka niektórych koncepcji urbanistów i architektów jest na pewno bardzo potrzebna. Wzor opinii dziennikarskich zależy jednak od ogólnej orientacji w rozwoju miasta, od znajomości sposobów rozwiązywania bieżących problemów i od wyboru odpowiednich przykładów. Piotr Życki na pozór stara się uwzględnić te momenty. Na pozór, gdyż w jego rozważaniach ostatecznie zabrakło i realizmu i wyobraźni.

Z dużą satysfakcją przeczytałem artykuł pt. „Gdzie poznański realizm” w „Głosie Tygodnia” nr 58 z 18 bm. Z taką samą satysfakcją przyjął ten artykuł ci wszyscy mieszkańcy naszego miasta, którzy z niepokojem obserwują niebosłone poczynania inwestycyjne w Poznaniu, a nie mieli dotychczas możliwości na ten temat się wypowiedzieć.

Pozwoli Pan Redaktor, że w liście swoim wyrażę swój pogląd na dwie inne, wielkie koncepcje ułożone w dzielnicy Nowe Miasto, której jestem mieszkańcem. Mam na myśli oczyszczalnię ścieków. Inwestycję (koszt 300 mln. zł) zlokalizowano poza Poznaniem. Termin realizacji jest stale przesuwany i jeszcze dzisiaj nie wiadomo kiedy budowa ta zostanie ukończona. Tymczasem brak tego urządzenia powoduje nienormalną zabudowę naszego miasta wyłącznie w jego lewobrzeżnej części z zupełnym niemal pominięciem prawobrzeżnej dzielnicy. Ten stan rzeczy powoduje z kolei poważne zatkanie i trudności komunikacyjne.

Za biedni by budować tanio

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Piotra Życkiego w 58 n-rze niedzielnego dodatku „Głos Wielkopolski” pt. „Gdzie poznański realizm?”. Porusza on bowiem problemy żywo interesujące każdego poznaniaka, nawet gdy tak jak ja, nie jest już mieszkańcem tego miasta.

Trudno nie zgodzić się z autorem, gdy ubolewa nad faktem że XX-lecie Polski Ludowej zastanie śródmieście Poznania w niezbyt imponującym stanie, że nie będzie mostów na linii Śródmieście — Śródka, że tysiące ludzi gnieździ się w budkach na peronach i w kwaterach. Trudno nie zgodzić się z twierdzeniem, że należało zacząć budowę mostów 15 lat temu, że wtedy też należało przystąpić do odbudowy ulic Armii Czerwonej, 27 Grudnia i Piekar.

To jest niewątpliwie, konflikt po-

Jedną z największych bolączek Poznania (i wielu innych miast) jest nieodpowiadający dzisiejszym potrzebom system komunikacyjny. Bądź co bądź obszar miejski uległ po wojnie potrojeniu, ludność wzrosła prawie dwukrotnie, a liczba pojazdów mechanicznych powiększyła się z 500 (w 1939 r.) do 30 tysięcy.

Autor felietonu utyskuje, że na skutek koncepcji nie na miarę naszej epoki zwlekamy z budową mostów na trakcie Piastowskim, pozostawiamy niezabudowane parcele śródmiejskie, z nadmiernym luksusem traktujemy przebudowę ulicy Grunwaldzkiej. Tymczasem właśnie realizm wynikający ze zmian powojennych i niezbędna w projektowaniu doza wyobraźni skłoniły miasto do budowy kilku nowych i przebudowy jeszcze większej liczby mostów. Mają one znaczenie podstawowe dla łączności z rozrastającymi się dzielnicami przemysłowymi na prawym brzegu Warty i dla związania dzielnic lewobrzeżnych poprzez naturalną przeszkodę, jaką jest parów kolejowy. Był to i jest wysiłek bardzo duży.

Nie mogę zgodzić się z twierdzeniem, że zaprojektowany trakt Piastowski ma cechy jakiegś gigantycznej trasy. Przecież jego szerokość nie przekroczy 20 m! Z tego powodu w przyszłości dla tzw. szybkiej komunikacji trzeba będzie zbudować dalszą, szerszą arterię (tzw. trasa Północna). A w ogóle należałoby wyjaśnić, że koncepcje tras mają rozwiązać główne problemy ruchu kołowego i w ten sposób oszczędzić nam poszerzanie wielu ulic i uliczek.

I jeszcze jedno wyjaśnienie. Zaprojektowana w umiarkowany sposób nowa ulica Grunwaldzka pro-

wadzi nie do nikąd — jak chce Życki — ale do powstającej dzielnicy baz transportowych i zakładów przemysłowych w Junikowie. Poza tym jej oś przecinają dwie duże arterie: „okólna” i Grochowska, przy których powstają nowe dzielnice mieszkaniowe. Stąd też skromne ronda na przecięciach. Autor felietonu pisze dla wyjaśnienia: „trasy mają to do siebie, że dużo kosztują”. To prawda. Prawdą również jest to, że ubrania dla naszych dorastających dzieci wymagają coraz więcej ofiar z naszych kieszeni. Poznań zaś jest właśnie takim, naszym wspólnym dorastającym dzieckiem. I dlatego — podobnie jak w rodzinie — wydatki rozkładamy na raty. Innego sposobu nie ma.

Nie zawsze na przeszkodzie realizacji planów rozwoju grodu Przemysława stoja tylko finanse. Czasem powstają kłopoty ze sformułowaniem dojrzałej koncepcji. Tak było na przykład ze śródmieściem. Podobnego tematu — niezwykle złożonego i odpowiedzialnego — nie opracowuje się na kolanie. Dowiedzieliśmy się z satysfakcją, że nasi projektanci znaleźli ostatnio koncepcję obudowy ul. Czerwonej Armii, zgodną ze wszystkimi współczesnymi wymogami. Realizacja rozpocznie się za parę miesięcy. Po cóż więc błądzać?

Są także pierwsze projekty budynków „oszczędnościowych”, jest tramwaj na Osiedle Warszawskie, czyli do terenów nowego ZOO itd., itd.

Czy oznacza to, że w naszej urbanistyce i architekturze jest wszystko dobre? Taki sąd byłby bardzo pochopny. Starajmy się więc dyskusować nad konkretnymi projektami przed ich realizacją. Z poczuciem prawdziwego realizmu i nieodzownej dozy wyobraźni.

JOZEF MODRZEJEWSKI

Cena koncepcji

Odwlekanie realizacji tej inwestycji doprowadzi do dużych zniekształceń w zabudowie naszego miasta i trzeba będzie długich lat, aby je usunąć. (...)

Druga wielka koncepcja to „arteria starolecka”. Jej budowę rozpoczęto w sierpniu br. Projekt przewiduje dwie jezdnie z oddzielnym torowiskiem tramwajowym. Budowę tej arterii uzasadnia się powiązaniem jej z inną inwestycją komunikacyjną, tzw. „Trasą Hetmańską”. Ta ostatnia, której koszt wyniesie około 300 mln. zł, jest jeszcze daleko w polu.

Czy i w tym przypadku nie należałoby ograniczyć na razie tej arterii tylko do jednej jezdni? Drugą można by wybudować z chwilą przystąpienia do realizacji inwestycji mostowej przez Wartę w Starolece. Z oszczędzonych zaś środków finansowych i materiałowych należałoby wybudować drugą jezdnię (wzgl. po-

szerzyć) ul. Warszawską, na której panuje duży tłok pojazdów mechanicznych. Można by też ewentualnie uporządkować i poszerzyć arterię komunikacyjną łączącą z linią tramwajową do Główniej. Tak ul. Warszawską jak również ul. Główną są arteriami przelotowymi prowadzącymi do Warszawy, Bydgoszczy, Gdańska i Gdyni. Ul. Starolecka natomiast jest tylko arterią lokalną, kończąca się w Głuszyńcu, a na jej budowę przeznaczono ponad 40 mln. złotych.

Szkoda wielka, że artykuł P. Życkiego ukazał się tak późno. Trudno będzie obecnie przekonać do odwrótu tych, którzy zaplanowali te wielkie koncepcje. Dobra jednak wola, wielkie i liczne potrzeby inwestycyjne naszego miasta a przede wszystkim interes mieszkańców, powinny doprowadzić do zastanowienia się nad tymi sprawami.

WŁODZIMIERZ WELNICZ

dzie „kroili” je na swoją miarę. W miastach tych wybura się całe dzielnice, by stworzyć znośne warunki dla komunikacji, ona jest bowiem nerwem miasta.

Daleko co prawda Poznaniowi do Brukseli, czy nawet Warszawy, ale byłoby niewybaczalnym błędem zaprzeczyć szansę, jaką dały (to paradoksalne!) wojenne zniszczenia. Szanse częściowej chociaż przebudowy na miasto nowoczesne. Pozwól sobie zacytować słowa Władysława Bieńkowskiego, który w 46 numerze Przeglądu Kulturalnego pisze, że: „Budownictwo jest jednym z trzech kluczy do skarba przyszłości. Tu (uwaga ekonomistów) nie wolno rozumować czy nas stać i na ile nas stać? Problemy budownictwa muszą być rozpatrywane pod kątem następstw za dziesięć i dwadzieścia lat. Tu obowiązuje kategoria: ile koniecznie trzeba.”

Władysław Bieńkowski nie jest, jak wiadomo, Głównym Architektem m. Poznania i nie można go posądzić o subiektywizm.

Po prostu rozumie problem. Nie dziwny się więc, że powołani do tego ludzie tworzą koncepcje przez duże K. Za to im płacą. Kiepscy byłiby to urbanisci, gdyby koncepcji tych nie tworzyli. Byliby

Irena Frąckowiak

ALIMENTY

W Polsce sto tysięcy wyroków alimentacyjnych bogaci akty komorników. Sto tysięcy ojczulków — bo o nich przecież chodzi — nie chce z dobrej, nieprzymuszonej woli iść na utrzymanie porzuconych rodzin. Są klientami komorników, jakże niewdzięcznymi! Przed trzema laty, kiedy rozpoczynała pracę sekcja pomocy alimentacyjnej przy Polskim Komitecie Pomocy Społecznej zdawało się, że przynajmniej 10 procent wyroków egzekucyjnych w sprawach alimentacyjnych jest martwymi aktami, których żadna siła nie wróci do życia (tj. do potrącania należnych rodzinie pieniędzy). Dziś, po trzech latach, obraz jest jaśniejszy. Przez wojewódzkie sekcje pomocy alimentacyjnej przeszło niemal 4000 najtrudniejszych wyroków — i prawie wszystkie są już realizowane. „Szlachetna zaciekłość” — jak ją słusznie nazwano, nieustępliwość, inicjatywa, energia i upór sekcji w dochodzeniu praw porzuconych rodzin — doprowadziły do wyniku, który budzi dobre nadzieje na przyszłość.

Gdyby wszyscy ludzie...

Bo o cóż właściwie chodzi w nabrzmiałym społecznie problemie niepłaconych alimentów? Tylko o jedną rzecz: żeby wszystkie zainteresowane organy, instytucje i przedsiębiorstwa czyniły swoją powinność.

Sądy — żeby pamiętały, iż mogą zabezpieczać z urzędu część uposażenia lub dochodów pozwanego jeszcze przed rozprawą sądową (art. 875 § 1 i 2 kpc) oraz żeby, przy ferowaniu wyroków z art. 201 kk (kary więzienia za złośliwe uchylanie się od obowiązku alimentacji) uwzględniały art. 62 kk („Sąd może zobowiązać skazanego, by wynagrodził szkody, wyrządzone przestępstwem, w czasie i w rozmiarach ustalonych w wyroku”).

Prokuratorzy — żeby, zamiast, jak się to obecnie często zdarza, umarzać wiele pozwów o ukaranie z art. 201 kk — w razie wątpliwości zwracali je do uzupełnienia dochodzenia, a następnie wnosili dobrze udokumentowane oskarżenia.

Komornicy — żeby korzystali z uprawnień, jakie dano im w marcu r.b.: karania wysoką grzywną pracodawców, którzy nie dopełniają obowiązku potrącania egzekwowanych kwot.

Więziennictwo — żeby respektowało zarządzenie Nr 64/61 r. Ministra Sprawiedliwości w sprawie zatrudniania więźniów zobowiązanych do świadczeń alimentacyjnych.

Alimentciarz z pędem do wiedzy

Ze świecą można szukać w Polsce sądu, gdzie przyjmą do protokołu ustne zgłoszenie pozwu o alimenty (podobno jedynym wyjątkiem jest Poznań). W Warszawie kierowniczka sekcji pomocy alimentacyjnej przy Radzie Naczelnej PKPS tylko w jednym wypadku uzyskała, że ukarano grzywną głównego księgowego, który nie potrącał alimentów. Miecz sprawiedliwości bardzo wolno spadał na biedaka, ostatecznie dotknął go dopiero po czterech pismach sekcji alimentacyjnej do prezesa Sądu Powiatowego. W Poznaniu, jeden komornik zagroził grzywną przedsiębiorstwu „Uzdrowisko Świnoujście” za niepotrącanie alimentów od ojca czworga dzieci...

Lecz największe emocje przypadły sekcji pomocy alimentacyjnej we Wrocławiu, której petentka domagała się alimentów od męża — dwukrotnego więźnia z 201 kk. Na pierwsze pismo sekcji więzień odpowiedział, że skazany nie może pracować ponieważ... właśnie przerabia piątą klasę. Na drugie pismo — że skończył piątą i przygotowuje się, w trybie przyspieszonym, do ukończenia całej szkoły podstawowej. Gdy minął przewidziany termin skończenia szkoły — więzień zawiadomił sekcję, że skazany... zapisał się do szkoły metalowej.

Zapał do nauki wydał się w końcu kierowniczce sekcji podejrzany. Przejrzała dokumenty i okazało się, że godny ojczulek był przed uwięzieniem... wykwalifikowanym spawaczem w Paławagu.

I co dalej, porzucona rodzino?

Sekcje pomocy alimentacyjnej przy wojewódzkich komitetach PKPS są dziś bogatsze o trzy lata doświadczeń. Są też bogatsze o kilka przepisów prawnych i posunięć organizacyjnych, m. in. o cytowane zarządzenie Ministra Sprawiedliwości, o zmianę ustawy o dowodach osobistych, nowelizację kpc, a od 1 stycznia 1963 r. — o specjalną komórkę Ministerstwa Sprawiedliwości nadzorującą pracę komorników w całej Polsce. Przede wszystkim zaś są wzbogacone o bezbłędne współdziałanie z organami MO przy tropieniu ukrywających się alimentciarzy oraz z oddziałami Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, które bez pudła zabezpieczają egzekucję alimentów na należnościach rencistów.

Żeby z tego dorobku lepiej skorzystały porzucone rodziny, trzeba dwóch rzeczy. Jednoznacznej atmosfery społecznej na korzyść pokrzywdzonych a przeciwko krzywdzicielom oraz przestrzegania przepisów prawa. Miejmy nadzieję, że w nadchodzącym czwartym roku pracy sekcji pomocy alimentacyjnej jedno i drugie ulegnie dalszej poprawie.

wręcz niepotrzebni, gdyby problemy te można było rozwiązać jednym prasowym artykułem wskazującym właściwe metody postępowania.

Nie zapominajmy, że urbanistyka to jednak nauka — jak każda ma swoje prawa, których lekceważenie mści się w sposób bezwzględny.

Wydaje się, że gdy mówimy o realizmie, to trzeba stwierdzić, że dążenie do tymczasowych, obliczonych na szybko, ale także krótki efekt rozwiązań, byłoby tego realizmu zaprzeczeniem, chyba nie realizmu zabrakło w tym wypadku. Zabrakło decyzji! Dwa lata temu, gdy opuszczałem Poznań, nie było jeszcze decyzji jak należy przebudować ulicę Armii Czerwonej, 27 Grudnia. 15 lat to chyba wystarczający okres na podjęcie decyzji, którą z licznych koncepcji należy realizować? I tu chyba jest pies pogrzebany! Niewątpliwie każde z proponowanych rozwiązań ma jakieś wady, ale nie ma przecież rozwiązań idealnych.

A skoro, jak to ma miejsce z osławioną trasą W—Z, decyduje już zapadły, skoro rozpoczęto już budować jeden z mostów, za późno chyba roztrząsać problem jeszcze raz od początku, doszukiwać się błędów. Realizm polega między innymi na konsekwentnym wykonywaniu usta-

lonych już zadań. Gdy te realizacje rozłoży się na kilka lat, gdy budowy podzieli na odpowiednie etapy, koszty nie będą tak wielkie, jak może się to wydawać. Zrozumiano to w Gdańsku czy Łodzi i znaleziono tam pieniądze.

Chciałbym wspomnieć i o proponowanych przez p. Życkiego „solidnych murowanych parterowcach”. Bez łazienek i jak należy się domyślać bez piwnic, z rzędami komórek i wspólnymi ustępami na podwórzu. Sytuacja mieszkaniowa, to na pewno problem najtrudniejszy (sam opuściłem Poznań dla mieszkania). Ale propozycja ta nie rozwiąże sprawy, bo nie wytrzyma rachunku ekonomicznego. Rozpatrywana bowiem z perspektywy kilkunastu lat (patrz Bieńkowski) okaże się droższa od tak wybrzydzonej bloków. Trawstując stare, chętnie używane przez poznaniaków powiedzonko, można stwierdzić, że jesteśmy za biedni, aby budować tanio (czytaj — tandetnie).

Nie jest więc tak źle z tym poznańskim realizmem, pod warunkiem, że jego ocena oparta jest na realnych i podbudowanych rzetelną wiedzą dowodach.

Mgr inż. RAJMUND LIBERSKI
Brzeg

Janusz Biniek

CLOUZOT i BB



W ciągu swej 9-letniej, olśniewającej kariery, B. Bardot miała 32 filmy. Nie znam się na rekordach, ale kręciła prawie 4 filmy rocznie — to chyba dużo.

Były to jednak filmy — a ściślej rolę — czysto rozrywkowe, ot właśnie takie, jak „Paryżanka” czy ostatnio grana „Storkotka”. Natomiast w „Prawdzie”, która obecnie weszła na ekran kina „Wilda”, BB występuje po raz pierwszy w roli dramatycznej. Nie ona jedna zresztą; mamy przecież „Matkę i córkę” z Z. Loren. Wygląda na to, że takie właśnie role zaczynają ostatnio fascynować popularne aktorki filmów rozrywkowych, które — czyżby swoisty „katzenjammer”? — chcą udowodnić, że poza darami natury dysponują również talentem aktorskim.

Nie przypadkowo jednak próby te odbywają się pod okiem znakomitych reżyserów. W filmie bowiem może udać się to, co w teatrze byłoby z góry skazane na niepowodzenie. Aktor teatralny jednak sam dźwiga swoją rolę, reżyser nie może mu pomóc montażem, zbliżeniem, ruchem kamery; co najważniejsze, w teatrze nie można po kilkanaście razy powtarzać poszczególnych scen, by wreszcie wybrać i wkleić najlepszą. Dlatego też w filmie — o czym zazwyczaj zapominają widzowie — decydują przede wszystkim umiejętności, pomysłowość i doświadczenie reżysera, szczególnie wówczas, gdy film ma być ogniwem próbną nieujawnionego jeszcze talentu aktorskiego.

Jak krąży słuchy, przy realizacji „Prawdy” nakręcono wiele, wiele kilometrów taśmy. BB należy do nader kapryśnych gwiazd, a Clouzot*) słynie z tego, że jest nieubłagany na planie. Dochodziło więc do licznych awantur i kłótni. Co z tego wszystkiego wyszło? Otóż film udał się i BB w nowym wcieleniu — także.

Zresztą — to wcielenie jest nowe zaledwie w połowie. Bardot gra rolę lekkomyślnego kociaka, dziewczynę nie tyle zepsutą co amoralną, egoistyczną, a przy tym — co zawsze było jej atutem numer jeden — pełną wdzięku. Sama historia jest dość banalna: miłość prowadzi do zamordowania kochanka. W filmie nie chodzi jednak o problem winy i kary sądowej czy moralnej. Clouzot przeprowadza inny dowód, ten mianowicie, że gdy chodzi o zjawisko tak złożone i subiektywne jak miłość, uzyskanie obiektywnej prawdy jest niemożliwe. Prawda ta wymyka się zarówno oskarżycielowi jak i obrońcy. Nie można jej uchwycić i zważyć nie tylko w kategoriach winy i kary, lecz także w dociekaniaach psychologicznych, podporządkowanych tym kategoriom. Treścią filmu jest rozprawa sądowa, liczne retrospekcje ukazują jej tło. Młodzi kochankowie nie są bez skazy, wprost przeciwnie. Ale z drugiej strony cała ta rozprawa, brutalne wekskanie się w najintymniejsze sprawy — budzić musi odrazę, i gdyby nawet było usłoneczone szczerą dążnością do wyświecenia prawdy — do nieczego doprowadzić nie może. Miłość — mówi Clouzot — niezależnie od tego jakie ma imię, istnieje zawsze na „wariackich papierach” i wymyka się wszelkiej ocenie, a zwłaszcza tej, którą kieruje tradycja. Jakże znamienne są słowa oskarżonej, gdy w pewnej chwili zwraca się do sądu: „wy, ubrani w swe śmieszne peruki, chcecie mówić o miłości, o życiu? Co wy o tym wiecie?”

A więc film na pewno nie banalny zmuszający do myślenia składający do dyskusji. Dajmy, że przy tym, bezbłędnie zrobiony pod względem dramatycznym. A Bardotka? Może rzeczywiście ma duży talent dramatyczny. Jeśli prawda z tej „Prawdy” nie ulega wątpliwości; ta mianowicie, że Clouzot jest znakomitym twórcą.

Feliks Fornalczyk

Moralitet z dzwonkiem

Na scenie jest dwoje drzwi i jedno okno. Drzwi te sięgają od podłogi aż po sufit. Są przez to monstrualne, tajemnicze, groźne. Lewe drzwi opatrzone są dzwonkiem, spełniają rolę zwykłych drzwi, przez które wchodzi i wychodzi domownicy, przyjaciele, ale mogą także wejść nieproszeni goście, agent policji, „obcy”. Drzwi prawie nie mają dzwonka. Wchodzi przez nie i wychodzi naczelnik departamentu śledczego, może wejść i wyjść agent policji, i wchodzi lecz nie wychodzi winni. A winny jest tu każdy, kto zostanie wezwany.

Na scenie są jeszcze najkonieczniejsze meble i żadnego już innego znaku scenograficznego, który by w tę atmosferę wprowadzał jakiś rys ożywienia, barwy, optymizmu. Wydarzenia, jakie rozgrywają się pośród trzech ścian sceny, mają miejsce podczas okupacji. Ową akcją został tu określony z pedanterią. Mówią o nim bohaterowie dramatu, a więc mówi to autor, i mówi scenograf, który ową okupacyjną noc uwytkł ornamentem kolczastych drutów.

Autor sięgając dziś do tematyki okupacyjnej nie zamierzał przypominać historii, nie chodziło mu o stworzenie dramatu dokumentalnego. Splot spraw ludzi z gęstą i ludzi z zewnątrz, splot spraw „aparatu wymiaru sprawiedliwości” i ludzi „korzystających z wolności”, wreszcie sprawy zwykłego człowieka i sprawy maszyny biurokracji, posłużyły autorowi do ponownego poddania rozważce tych ujemnych zjawisk natury ludzkiej i urzędniczej, które w minionych czasach przybierały postać najbardziej zwyrodniałą, groźną, okrutną, demoralizującą.

Sądzę, że gdyby chciał mówić o tych sprawach w sposób historyczny, gdyby te sprawy traktował jedynie jako czas przeszły, wymowa utworu byłaby mniejsza, sztuka uspokajałaby sumienia, ograniczałaby swój zasięg, rozgryszczała historię i współczesnych. Uogólnienie natomiast staje się przestrożą, wzbudza niepokój, wprawia w ruch dzwonki ostrzegawcze.

Bohaterowie sztuki, dwie zaprzyjaźnione rodziny, nie odczuwają leku wtedy, gdy znajdują się z sobą, w czterech ścianach mieszkania, i nie słyszą odgłosu kroków na schodach, nie rozlega się dzwonek przy drzwiach. Bezpieczny jest więc dla nich tylko ten jeden zamknięty, własny krąg. Każde wykreślenie poza ten krąg wywołuje niepokój, odbywa się z towarzyszeniem zagrożenia. Okropny, nieznosny stan. Olepiający, niszczący człowieczeństwo czas. Oto w jakich warunkach tworzą się owe absurdalne w innych okolicznościach podziały na „swoich” i „obcych”. Tę myśl uczynił autor motywem przewodnim swej sztuki.

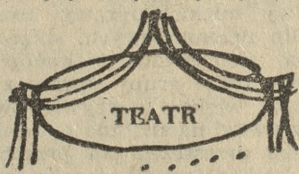
Lecz skoro przyjmujemy jako obowiązujące takie założenie autora i teatru, stwierdzimy, że jest to założenie nie dające się utrzymać w koncepcji uogólnienia, a więc i rozciągnięcia pewnych przeszłych symptomów moralnych i socjologicznych na okres współczesny. Założenie takie nie da się utrzymać z tej prostej przyczyny, że okres wojny i okres powojenny to dwa zupełnie różne pojęcia, dwie różne jakości. Inne motywy wpływały na powstawanie grup „swoich” i „obcych” wówczas, i inne w czasie nowszym. Są to bowiem zjawiska, nieporównywalne, nie dejące się ukazać bez uproszczeń, bez spłykania problematyki.

Jeśli można mieć o coś pretensje do autora tej sztuki, to przede wszystkim o ten brak wyraźnego opowiedzenia się filozoficznego. Bo nie można powiedzieć, że Vogler — mowa tu bowiem o sztuce Henryka Voglera „Ktoś dzwoni”, wystawianej na scenie poznańskiego Teatru Nowego — nie wie, o co mu chodzi, a jeszcze mniej, że nie umie pisać. Martwe, dłużące się są tylko dwie początkowe sceny, dalej, do samego końca, sztuka trzyma w napięciu, rozwija się konsekwentnie, obrasta w problemy, daje do myślenia.

Wydać mi się, że autor — jak to

czasem bywa — znalazł „mocny temat”, wyobraził sobie jego układ, i kiedy siadł do pisania, chciał wypisać wszystko, co miał w myślach. Nie chciał za bardzo wiązać sobie rękami jednego określonego czasu, pociągający go możliwości uogólnień, ale kiedy poszedł ich torem, sam się trochę zawahał, zaczął się lękać, i — obym się mylił — napisał sztukę o czym innym, niż chciał. Mam, powiadam, ciągle na myśli główną ideę utworu. Powstała więc sztuka dyskursywna, stolikowa, w której postacie dużo mówią, niewiele natomiast działają, ponieważ ich sceniczne losy zostały z góry zdefiniowane.

To szarzy, przeciętni ludzie, którzy podjąwszy kiedyś jakieś decyzje, lub nie podjąwszy decyzji, odkręcają jak z zawiniętej taśmy swoje życie wstecz.



Ich poczynania w czasie teraźniejszym nie są czynami, to odruchy, to nerwy, to czasem wspomnienia, to machinalne kroki, gesty, grymasy. Mamy tu odczucie wielkiego mechanizmu, którego żywe postacie na scenie są najniższymi kółkami — mogą te kółka być, mogą nie być, maszyna będzie się kręcić dalej, zegar będzie wybijał godzinę.

Wspomniałem, że sztuka Henryka Voglera jest sztuką dyskursywną, z ledwo zaznaczoną akcją, w której niewielką rolę odgrywają gesty, i w której postacie nie rozwijają się w przód, ale wstecz. Jeśli nie w dosłownym znaczeniu, to w symbolicznym. Nastrój tej sztuki, jej klimat, muszą wnieść od razu z pierwszymi słowami aktorzy. Nic innego — ani plastyka, ani kostium, ani oprawa akustyczna — ich w tym nie wyręczy. Słowa, dyskurs, rozmowa przysługują im tylko życia, które mają za sobą. Może to było przyczyną tej odczuwalnej martwoty obu początkowych scen?

Poznań niewielu ma aktorów, którzy ten rodzaj sztuki potrafią poprowadzić, zasugerować publiczności. Tego rodzaju sztuki wymagają aktorstwa bardzo wysokiej klasy. Toteż dialog szedł tu kulawo, koniakt między partnerami utykał. Reżyser przedstawienia, Jan Perz, nie miał łatwego zadania. Ak-

torów ustawił w rolach mówiących autematów. Zaakcentował w przebiegu akcji momenty ahistoryczne. I właściwie dopiero one postawiły rzecz na nogi. Tej sztuki nie można grać na sztywno, aktor jest tu zmuszony do maksymalnego wysiłku, postać musi on tworzyć tylko na podstawie tego, co może wydobyć z siebie.

Najszybciej bodaj zdołała wpaść na pomysł rozegrania swojej partii Kazimiera Nogajówna; zagrana przez nią Helena jest niesłychanie szczerą, strach nie jest u niej udany, miłość do Piotra, współczucie dla jego spraw przekonują. Nogajówna ma dobrego partnera w Henryku Machalicy. Jego Piotr ze sceny na scenę jest coraz lepszy, przeżywa na powrót swoje życie, ma piękną scenę przyznania się do oszustwa, choć to nie było oszustwo. Postać Piotra i postać Naczelnika Departamentu, przez to, że nie są jednoznaczne, że walczą w nich różne uczucia, należy zaliczyć do osobistych sukcesów autorów sztuki i aktorów. Naczelnika gra Aleksander Ludwik Michałowski.

Nie można tego samego powiedzieć o pozostałych rolach spektaklu „Ktoś dzwoni” — i byłbym nawet skłonny mniemać, że jest to wspólna wina autora i teatru. (Nie widziałem Mariana Pogasza w roli Agenta, więc tylko co do tej roli rezerwuję sobie prawo nie wypowiadania osądu.) Scenografię projektował Stanisław Bąkowski; uznaję ją za pomysłową, funkcjonalną, ale tym razem Bąkowski mi nie zaimponował — dekoracja do „Ktoś dzwoni” wydała mi się jakąś nieestetyczną.

W tym sezonie mieliśmy już możliwość oglądać na scenie Teatru Nowego dwie nowe sztuki autorów polskich. Poprzednio „Uczcie morderców” Andrzeja Wydrzyńskiego, której realizacja nie należała do udanych i obecnie „Ktoś dzwoni” Henryka Voglera. Jako najbliższe premiery teatr zapowiada na tej scenie dalsze sztuki autorów polskich — „Sukces” Natalii Rolleczek i „Skandal w Hellbergu” Jerzego Broszkiewicza. Podał mi się to konsekwencja repertuaru.

Jest w kraju przynajmniej jeden teatr, który odważył się prezentować systematycznie współczesne sztuki polskich autorów. Konkurs na te sztuki ogłosiła w swoim czasie Bydgoszcz, nagrody zdobyli w nim autorzy z Krakowa, gdyby tak jeszcze Poznań miał lepsze wyniki w ich realizacji...

Jeden znaczy dwa tysiące

Dokończenie ze str. 1

stratami natury moralnej — straty, idące w dziesiątki tysięcy złotych. Uniwersytet utrzymuje się gdzieś w środku tabeli jeśli chodzi o procent kończących terminowo studia. Ale jakież na tymże UAM kolosalne różnice w sprawności poszczególnych wydziałów.

Próg trudności jest inny na poszczególnych wydziałach. Są jednak również podobieństwa. Nie wydaje się nam na przykład, aby istniały ogromne różnice w przyswajaniu materiału studiów na filologii i prawie. Dlaczego więc na jednym kończy terminowo 82 proc., a na drugim tylko 30 proc.?

Pytania bez odpowiedzi

Takich „dlaczego” moglibyśmy stawiać wiele, analizując podane liczby. A opublikowaliśmy za ledwie niewielką ich część. Nie do nas jednak należy formułowanie odpowiedzi. Pragniemy jedynie podać pod rozwagę środowiska naukowego problem, który wydaje nam się obecnie najważniejszy, w aspekcie pilnych potrzeb zaspokojenia głodu na wysokokwalifikowane kadry.

Niektóre wnioski nasuwają się niejako same przez się. Należy chyba ściślej przestrzegać regulaminu studiów; praca opiekunów lat i grup studenckich wymaga polepszenia; organizacje młodzieżowe winny się bardziej interesować wynikami nauce; stypendia należałoby bardziej różnicować, zależnie od wyników nauce; a może nawet zobowiązać do oddania pobranych, w wypadku nieuzasadnionej rezygnacji z dalszych studiów. Wymienione i inne postulaty są na ogół znane w środowisku naukowym. Obawiamy się jednak, że za mało dyskutuje się nad sposobami efektywnego wprowadzania ich w życie.

Koszt wykształcenia jednego studenta wynosi ponoć 100 do 200 tys. złotych, w zależności od ilości zajęć laboratoryjnych. Co więc należy zrobić, aby tych milionów nie marnować, a jednocześnie nie obniżać poziomu studiów? Co zrobić, aby zwiększyć liczbę absolwentów przy tych samych środkach, jakimi dysponujemy obecnie? Pytania te oczekują na odpowiedź.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Bogusław Kogut

Papier jest cierpliwy

Nie można powiedzieć, by prasa codzienna zbyt wiele miejsca i uwagi poświęcała XIII Zjazdowi Literatów; informacje nie byłyby chyba obszerniejsze niż sprawozdania z codziennych meczów ligi koszykarskiej. Czyżby literatura tak mało obchodziła nasze społeczeństwo? Chyba nie, skoro nakłady książek rozchodzą się jak przysłówowe ciepłe bułki. Więc chyba warto poświęcić Zjazdowi „klatkę” w niniejszej rubryce.

Jeden z literatów przemawiających na Zjeździe powiedział, że książka już niejedną raz uratowała naród. Sformułowanie to nie grzeszy, jak łatwo zauważyć, zbytnią skromnością, z drugiej jednak strony rola literatury w kształtowaniu ludzkich postaw zdaje się wcale nie maleć w nowoczesnym społeczeństwie, zmieniają się tylko sposoby jej oddziaływania. Tymczasem obserwujemy w naszym ruchu wydawniczym zjawisko stałego zmniejszania się literatury pięknej w globalnej produkcji książek, co między innymi w sposób dobitny, bo udokumentowany danymi liczbowymi, wykazał w swoim referacie zjazdowy Ryszard Matuśzewski. Wprawdzie minoryzacja ta bardziej dotyczy klasyki i prze-kładów z literatury obcych niż polskiej twórczości współczesnej, ale jest to pociecha raczej dość potowiczna, o czym nie trzeba się zresztą bliżej rozwodzić.

Panuje u nas opinia, że konieczność oszczędnej gospodarki papierem determinuje ograniczenia nakładów. Ale powstaje pytanie, dlaczego oszczędza się tylko, albo przede wszystkim, na literaturze, skoro administracja, zwłaszcza niektóre jej resorty, pochłaniają papier w ilościach rzadko kiedy uzasadnionych rzeczywistymi potrzebami. Z głosów ludzi, którzy badali bliżej te spr-

awy, nie tylko z ramienia „braci literackiej”, ale także ze strony stowarzyszenia wydawców — były nie tylko przekonujące, były także niepokojące.

Jestem wszakże skłonny dać tym głosom pełną wiarę, również na podstawie własnych doświadczeń. Nie dalej jak tydzień temu otrzymałem pismo urzędowe na ołtarzu kurkusu papieru, z którego wynikało, że czynsz dzierżawny za grudzień powinienem zapłacić do dnia 24 bm. Telefonowałem gdzie trzeba, by się dowiedzieć, czemu to na dwa z górą tygodnie przed terminem płatności jestem upominany, tym bardziej, że czynsze płać regularnie i nie mam żadnych założeń. Dowiedziałem się, że upominano mnie na wszelki wypadek. Pomóżmy ten arkusz przez liczbę mieszkańców miast, a zobaczymy, ile książek byłoby z tego! Nie sądzę bynajmniej, że każda książka miała akurat ratować naród przed nie wiadomo czym, ale na pewno każda książka bardziej się przyda społeczeństwu niż krążące „na wszelki wypadek” pisma i pi-semka.

Na pewno słuszne są założenia polityki wydawniczej idące w kierunku rozsądnej regulacji nakładów; pamiętamy czasy, kiedy to bez ograniczeń produkowano księgarską „ceglę”, która w końcu szła na przymiał. Ministerstwo Kultury, jego właściwy departament, uczyniły tutaj wszystko, co oszczędny gospodarz uczynić powinien. Dlaczego więc inne resorty nie czynią tego samego, już nie w interesie literatury, ale w interesie gospodarki? Papier jest cierpliwy, nie pyta na co się go obraca. Ale papier jest także cennym towarem.

Jednym z ważnych elementów mecenatu nad literaturą jest tzw. Fundusz Literatowy. Z grubsza

biorąc, jego zadaniem jest wyrównywanie dysproporcji honoracyjnych, jakim nie jest w stanie zapobiec najlepsza nawet konwencja wydawnicza, czyli umowa zbiorowa. Na przykład tłumaczenia niektórych arcydzieł literatury światowej stwarzają tak ogromne trudności w porównaniu z przeciętną pracą przekładową, że nie sposób jest zagwarantować dobrego przekładu inaczej jak przez dotację wyrównawczą.

W Polsce działa, podobnie jak w wielu krajach, taki Fundusz, ale opiera on się na dotacji z budżetu państwowego. Tymczasem wszędzie indziej jest tak, że podstawę Funduszu stanowią dochody z samej literatury, powstałe przez opodatkowanie na ten cel edycji wysoce dochodowych. Nie trzeba, jak się zdaje, nikogo przekonywać o tym, że ten sposób zasilenia Funduszu jest nie tylko o wiele bardziej praktyczny, jest on po prostu bardziej moralny (by nie powiedzieć: sprawiedliwy), nie stwarza bowiem fikcji „cudzego garnuszka”.

Postulowano więc słusznie na XIII Zjeździe rewizję założenia Funduszu. Postulowano ją także na kilku poprzednich zjazdach. Może trzynastka okaże się szczęśliwszą?

Dwie sprawy zaledwie poruszyłem — i „klatka” już wypełniona. A tu jeszcze należałoby poplotkować o tym lub owym. Więc na koniec wiadomość poufna: Stefan Kisielewski, czyli nieustraszonego felietonisty, pisarza, kompozytora i posła w jednej osobie, nosi się z zamiarem napisania powieści produkcyjnej. A gdański Oddział ZLP inicjuje zjazd pisarzy krajów nadbałtyckich. Trudno powiedzieć, które z tych dwu zamierzeń jest bardziej realne. Ale oba zasługują na uznanie i jak najdalej idące poparcie.

nad



Fotos roboczy z filmu, z lewej H. Clouzot.

*) Znany polskiemu widzowi przede wszystkim jako twórca znakomitej „Ceny strachu”.

Eugeniusz Cofa

Pod znakiem mechanizacji

Wspominki jugosłowiańskie

Panonia, to nazwa wielkiej doliny naddunajskiej, ciągnącej się poprzez Węgry, po żyzne tereny jugosłowiańskiej Wojwodiny, autonomicznego kraju Serbii. Od tej doliny wzięło swą nazwę położone w okręgu Baczka Topola państwowe gospodarstwo rolne „Panonia”.

Kiedy przy okazji kilkunastodniowego pobytu w tym bałkańskim kraju zaproponowano mi przejazd do włości do tego gospodarstwa, wyrażałem początkowo powątpiewanie, czy ta podróż ma w ogóle uzasadnienie. Ostatecznie, nie uważam się za specja od spraw rolnych, a przypuszczałem także, że gospodarstwo takie niewiele może się różnić od naszego. Spotkało mnie przyjemne rozczarowanie.

Najpierw wykłonne progi gabinetu dyrektora — Dżoganowicza Milorada, później prezentowane mi nowe zabudowania centrum zespołu i wreszcie dane o wynikach ekonomicznych. Po tym wszystkim zrozumiałem, dlaczego „Panonię” pokazuje się cudzoziemcom, dlaczego uważa się ją za wzorowe gospodarstwo przyszłości. Nie jestem pewien jednak, czy i inne tego typu zespoły mogłyby zrobić na zwiedzającym podobnie imponujące wrażenie.

Jak wszystkie państwowe gospodarstwa i to powstało z połączenia dawnych majątków obszarowych z okresu przedwojennej królewskiej Jugosławii. Tylko, że bezpośrednio po wojnie, jeszcze w starych zabudowaniach majątku Duboka, założono hodowlę rasowych koni. W miejscowym pałacyku ulokowała się dyrekcja zespołu, liczącego w sumie 4500 ha, robotnicy zaś mieszkali w niezbyt wykwintnych starych „czworakach” bez futryn w okiennych otworach, zakrywanych latem muslinem, a zimą zaledwie jakąś grubszą tkaniną. Konie stacionowały w stajni budowanej z ubitej gliny. Prawie bez większych zmian przetrwało to wszystko do 1957 roku, kiedy podjęto decyzję zreorganizowania gospodarstwa.

Dzięki słusznym postanowieniom dyrekcji i robotniczego zarządu, „Panonia” zaczęła się szybko powiększać, następowało przestawienie kierunku gospodarki, oddziały zespołu otrzymały wiele nowych maszyn. Równocześnie liczba koni zmalała z 460 do 50, a traktorów wzrosła z 10 do 80 (obecnie). Na pola gospodarstwa, do chlewni i obór weszło sporo nowoczesnych agregatów rolniczych.

W latach 1957—1961 produkcja rolna w Jugosławii znacznie się podniosła. Poważny skok notuje się w zakresie udziału sektora społecznego, którego moc wytwarzania płodów rolnych wzrosła w kilku la-

tach z 10 do 50 proc. obecnej produkcji rolniej. Takie wyniki stały się możliwe między innymi dzięki uzdrawianiu gospodarki i podnoszeniu efektów ekonomicznych w gospodarstwach państwowych, podobnych „Panonii”. Zespół ten — jak się obecnie przypuszcza — dopiero w przyszłym roku przyniesie pierwsze dochody. Aby takowe uzyskać, musiano wprawdzie zainwestować. Od wspomnianego już roku reorganizacji, przez 4 lata, „włożono” w „Panonię” ponad 1 miliard dinarów. Przebudowano obory i chlewnie, zelektryfikowano większość zabudowań, sprowadzono traktory i maszyny. Te prace uzupełniły inwestycje pozaekonomiczne w samej centrali. Tutaj bowiem wybudowano wzorowy pawilon z małym domem towarowym, barem mlecznym i szeregiem potrzebnych punktów usługowych oraz sklepów. Dalej — stanęła w sąsiedztwie dawnej stajni, przebudowanej na dom kultury z kinem panoramicznym dla 380 widzów, nowa szkoła, a obok niej posiadające rentgena i gabinet dentystyczny ambulatorium. Na zapleczu pałacyku dyrekcji rozciąga się dziś 80-hektarowy park-ogród, a tuż za nim — nowe domki dla robotników i pracowników. Jeśli chodzi o te ostatnie, to przez ponad cztery lata oddano w „Panonii” do użytku 100 mieszkań 1- i 2-pokojowych. Ze starej zabudowy pozostał zaledwie jeden „czworak”.

Wszystkie zabudowania centralne zespołu otaczają przyjemnie urządzone plac, pośrodku którego umieszczono coś w rodzaju zieleńca z fontanną i pięknie zaprowadzonymi ścieżkami. Całość otrzymała jarmazynowe latarnie.

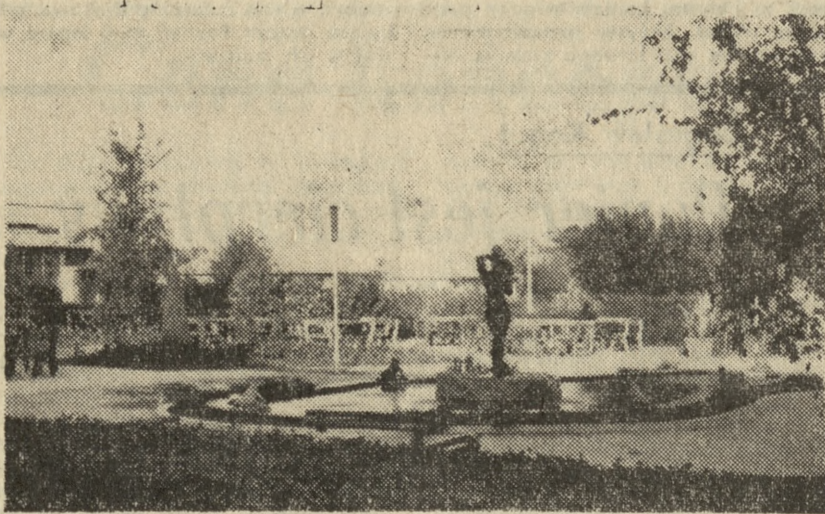
Opodal centrum „Panonii” wznosi się także budynek — o jakże nowo-

czesnej architekturze — bursa i szkoła dla przebywających w gospodarstwie studentów z krajów gospodarczo niedorozwiniętych. Nauka trwa tutaj od 4 miesięcy do 2 lat, w zależności od potrzeb i obranego kierunku. Do tej pory ukończyło ją 130 młodych Egipcjan, obecnie zaś kształcą się w „Panonii” przyszli agronomowie z Ghany, Gwinei, Mali i Boliwii. Wierzę, że gdy wrócą do swych krajów, będą doskonale wiedzieli od czego rozpocząć organizację przyszłych wzorowych gospodarstw tego typu.

Zaledwie w kilku latach — zarówno dzięki mechanizacji prac na każdym odcinku, jak i licznym inwestycjom — poprawił się byt miejscowych pracowników. Zarabiają oni teraz lepiej przy mniejszym wysiłku. Ale także pracuje tu mniej ludzi. Liczbę stale zatrudnionych zmniejszono prawie o ¼, a robotników sezonowych do jednej czwartej poprzedniego stanu.

A z czego żyje całe gospodarstwo? Obecnie głównie z hodowli świń, także przeznaczanych na eksport, odstawy mleka, uprawy pszenicy i roślin przemysłowych, szczególnie ziarna słonecznika i konopi. Te ostatnie dwie grupy upraw zyskują coraz większe uprzywilejowanie, a to z uwagi na znaczną opłacalność. Dlatego przestrzeń pól przeznaczonych pod zasiew słonecznika zwiększono już w tym roku o 8 procent, a dla konopi o 4 proc. Przewiduje się w najbliższej przyszłości także podwojenie liczby hodowanych świń (obecnie 7 tys. sztuk) i — dzięki zwiększeniu wysiewu nawozów sztucznych — uzyskanie lepszych rezultatów w zbiorach pszenicy.

Szereg pozytywnych zmian w jugosłowiańskim rolnictwie sprawiło, że obecnie i w jego państwowym sektorze, zwłaszcza gospodarstwach typu „Panonii”, można już mówić o rentowności. Jedną z takich zmian, to urealnienie cen płaconych za poszczególne produkty. Do tej pory produkcja wielu płodów i hodowla bydła była droższa, niż uzyskiwane ceny w zbycie. Tej anomalii położono kres. Oto — jak wyczyłem — przyczyna optymizmu dyrektora „Panonii”, który wierzy, iż już w przyszłym roku cały zespół należec będzie nie tylko do najnowocześniejszych, ale przede wszystkim do najbardziej dochodowych gospodarstw nowej Jugosławii.



Fragment centralnego placu w gospodarstwie „Panonia”

Zdjęcie — autora

Eugeniusz Paukszt

Zbliżenie z literaturą

Sprawa satysfakcję zarówno wklad edytorski w publikowanie dzieł związanych z historią naszej kultury, zwłaszcza literatury, jak i rezonans odbiorczy tego typu książek. Nakłady są stosunkowo wysokie i... okazuje się, że często nie mogą jednak zaspokoić zapotrzebowania.

Bardzo powoli, jednak konsekwentnie, realizuje PIW swoją edycję „Odrodzenie w Polsce”, przynosząc pełny kontekst materiałów z głosnej swojej czasu sesji PAN-u poświęconej temu okresowi. Obecnie ukazała się część druga tomu III, poświęconia historii języka, z pracami W. Taszyckiego, M. R. Mayenowej, S. Rosponda, W. Kuraszkiewicza, K. Górskiego, H. Safarewiczowej, E. Mróz-Ostrowskiej i Z. Klemensiewicz, nie licząc nader istotnych głosów dyskusyjnych. Obok tego studium, bar dziej, jakby nie było, specjalistycznego, nakładem PZWS, ukazała się książka bardzo potrzebna, mianowicie „Zarys teorii literatury”, w opracowaniu Michała Głowińskiego, Aleksandry Okopień-Sławińskiej i Janusza Sławińskiego. Wydaje mi się, że krąg odbiorców tego dzieła powinien być bardzo szeroki, każdemu inteligentnemu czytelnikowi potrzebna w zasadzie jest podstawowa wiedza o literaturze, jej podziale, teorii, o historii i krytyce literatury, jej stosunku do życia społecznego, o kompozycji dzieła itd., itd. Tekst jest bardzo przystępny, zasób zaś wiadomości ogromny.

W jakimś związku z poprzednimi książkami jest nowy tom wzniołono przed paru laty pod red. Zofii Szmydtowej „Rocznika Literackiego”, publikowanego przez PIW. Obecnie ukazał się tom za rok 1957, przynoszący szerokie omówienie literatury polskiej tego okresu, jak też literatury obcej w przekładach polskich wraz z szczegółową bibliografią wydanych w tymże roku książek. Cenna praca, zwłaszcza jako podręczny informator. W najbliższych dniach należy się również spodziewać ukazania „Rocznika Literackiego 1961”, lata natomiast 1958—1960 omówione zostaną w tomie, który wyjdzie z druku dopiero pod koniec przyszłego roku.

Marci Janion należy zawdzięczać, iż ukazała się wreszcie pierwsza po wojnie monografia twórczości Zygmunta Krasińskiego, ukazująca w nowym świetle osobowość poety. „Zygmunt Krasiński — debiut i dojrzałość” (wydanie „Wiedzy Powszechnej”) jest dziełem, które ocenić należy

wysoko, tak z uwagi na wnikliwość krytyczną autorki, jak nade wszystko za częste przynoszącą nowe, odkrywcze odczytanie „Nie-Boskiej Komedii”. Jasność wykładu oraz indeksy i wykazy, zwłaszcza zaś bogaty zestaw ilustracyjny, podnoszą wartość książki, stanowiącej godne uczczenie 150-lecia urodzin poety. Też w 150-lecie urodzin, ale innego już pisarza, nakładem PZWS ukazuje się opracowany przez Vincentego Danka i przez niego opatrzone ciekawym wstępem, wybór materiałów związanych z dziełem i osobą tytana pisarskiej pracy. „Józef Ignacy Kraszewski” jest naprawdę świetnym compendium do poznania bliżej sylwetki ciągle żywego wśród milionów czytelników autora.

W jakiś sposób pokrewną wszystkim tym pracom jest na pewno powieść Anieli Gruszeckiej o kro-nice Galla. Powieści tej ukazała się obecnie część druga pt. „Gall píše kronikę” (nakład Wydawnictwa Literackiego), będąca może jeszcze subtelniejszą i pełniejszą szkicem literackim o samym kronikarzu jak i jego epoce. Ceniąc oczywiście powieść Gruszeckiej wysoko, serdecznie ją entuzjastom powieści historycznej polecam.

Skoro jesteśmy przy pisarzach i myślicielach, warto wskazać, iż nakładem PWN a w tłumaczeniu Wierzy Biełkowskiej ukazała się monografia K. N. Dzierżawina pt. „Wolter”, gdzie zarówno dzieło jak życie wybitnego racjonalisty poddane zostaje szczegółowej, głębokiej analizie. Dzierżawin kreśli zarazem szeroko tło owej bujnej epoki, na którą taki wpływ wywarły idee twórcy wolterianizmu.

„Czytelnik” w Bibliotece „Symposion” wiążącej się z nazwiskiem Leopolda Staffa, opublikował obecnie kolejny tom, mianowicie Saint-Evremonda „O sztuce życia i życiu sztuki eseje, listy, maksymy” w wyborze, przekładzie i opracowaniu Rachmiele Brandwajna. Są to trafnie wybrane eseje literackie, satyry, pisma filozoficzne i rozprawy wybitnego libertyna, świetnego krytyka XVII wieku, rycerza Kondusza, przeciwnika Ludwika XIV, w konsekwencji banity i tułacza, umierającego w dalekiej od rodzimej ziemi normandzkiej Anglii, zawsze jednak umysłu żywego, twórczego, przy tym ducha chadającego własnymi drogami. Lektura Saint-Evremonda nie jest łatwa, ale przynosi sporo satysfakcji, pomijając już możliwość zapoznania się z jedną z ciekawszych umysłowości Europy siedemnastowiecznej.

dań literatury w świecie; druga jest próbą oceny literatury polskiej ostatnich lat; trzecia wreszcie porusza zagadnienia polityki wydawniczej. R. Matuszewski poruszył między innymi niepokój twórców o losy świata:

„U wielu najuczciwszych i najgłębiej myślących artystów współczesnych, ów klimat niepokoju i zagrożenia, przetrząsa się w wizję apokaliptyczną, w postawę katastroficzną, postawę rezygnacji, wyobcowania i rozpacz. Co może przeciwstawić takiemu stanowisku twórca socjalistyczny? Trzeba powiedzieć sobie wyraźnie: przekonanie o możliwości rozumnego zorganizowania świata, jakie cechuje zwolenników socjalizmu, nie jest już dziś — w obliczu powszechnego zagrożenia, żadną gwarancją, że taki świat zdołamy stworzyć. Zdołamy go stworzyć, jeśli uratujemy świat w ogóle. Jest to tylko możliwość, świadomość tego, że niebezpieczeństwo jest odwracalne, że odwrócić je może zbiorowa wola i zbiorowe działanie ludzkie.” („N. Kultura”).

Czy może być coś wartościowszego niż iaka piękna i szczytna rola pisarza?

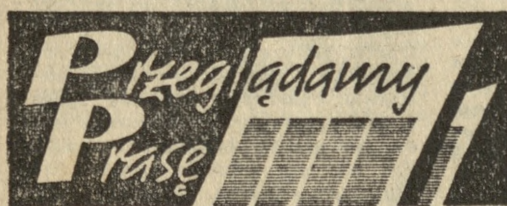
Szkolnictwo w 1963 r.

Głos Nauczycielski w artykule pt. Węzłowe problemy szkolnictwa w 1963 r. relacjonuje sprawy, które były treścią dwudniowej narady (6 i 7 bież. mies.) kuratorów okręgów szkolnych w Ministerstwie Oświaty. Na naradzie tej mówiono między innymi o wydatkach na oświatę i szkolnictwo ze skarbu państwa, które na rok przyszły wynosić będą 17,5 miliarda złotych. Niepokojąco wyglądają inwestycje:

„Dwa pierwsze lata planu 5-letniego przyniosły poważne opóźnienia. Wybudowano o 2,029 izb mniej niż zaplanowano. Zaległości te mają być odrobione w ostatnich 2 latach planu. W związku z tym, w roku 1965, ma być dwukrotnie więcej wybudowanych izb niż w bieżącym roku.”

Będzie to zadanie bardzo trudne, wymagające i wysiłku ze strony kuratorów i dotrzymywania terminów przez wykonawców.

LEKTOR



Gielda mieszkaniowa

Tygodnik Polityka rozpoczyna nową akcję. Dotyczy ona trudności mieszkaniowych, a ściślej mówiąc zlagodzenia tych trudności bez czekania na „lepsze czasy kwaterek”. Akcję zaczyna artykuł pt. Jeszcze poczekajmy... Krystyny Zielińskiej. Opisuje ona perypetie związane z zamianą mieszkań w Warszawie. W tej zamianie redakcja widzi sposób częściowego ulżenia ludziom znajdującym się w trudnej sytuacji mieszkaniowej. Ale akcja zamiany mieszkań kuleje: „Pani na 45 m² w nowym budownictwie czeka na swoich 20 m² w każdy wtorek i piątek (dni przyjęć). Wpatruje okrągłymi ze zdziwienia oczyma w urzędników i powtarza swoje: „To — się w głowie nie mieści! Skąd to się bierze?”

Autorka postuluje: wprowadzić jawność zamian, odbierając mrocznemu korytarzowi przed biurem (gdzie działają „prywatni pośrednicy”) smaczek szepowanej gieldy; zcentralizować te zamiany w jednym ośrodku, to jest w Biurze Wymiany lokali; niekonięcznie ograniczać Biuro do biernej roli pośrednika.

Może by i w Poznaniu pomyśleć o podobnej, systematycznie działającej, instytucji?

Rzecz o niedobrej robocie

Pod takim tytułem znajdujemy w Życiu Gospodarczym artykuł Wiesława Szynclera-Głowackiego, który zaślanawia się nad hutnictwem w Polsce. Autor twierdzi, że zużywamy zbyt wiele

żelaza i stali, sygnalizuje duże marnotrawstwo tych surowców.

Oto przykład: „Konstruktorzy jednej z hut, produkującej kwasoodporne cysterny, wpadli na prosty, ale mogący przynieść olbrzymie oszczędności pomysł. Zamiast budować cały zbiornik z kwasoodpornej stali — można by produkować je w ten sposób, aby w pancierze ze stali zwykłej był tylko wkład z owej specjalnie odpornej. Odpowiedź odbiorcy — finalnego producenta owych zbiorników — brzmiała jednoznacznie: nie zgadzamy się, to by nam poleżyło plan przerobu.”

A więc mamy tu do czynienia z systemem bodźców postawionych na głowie, zwanych w języku ekonomicznym antybodźcami. Zjawisko, niestety, dość powszednie. Zakłady nie chcą się godzić na oczywiste oszczędności, bo tak zwany plan przerobu ustalany jest według wartości: im droższy surowiec, tym łatwiej o wykonanie planu.

Rola wychowania

Na łamach Tygodnika Demokratycznego ukazał się artykuł prof. dr. Bogdana Suchodolskiego pt. Funkcja wychowania.

Znakomity uczony zalicza do zadań wychowania — kształcenie osobowości człowieka, rozwijanie jego uzdolnień i zamiłowań, wpajanie mu pewnej sumy przyzwyczajzeń kulturalnych, kształtowanie naukowego poglądu na świat, itp. Dużo miejsca poświęca B. Suchodolski umiejętności dysponowania coraz większą ilością wolnego czasu:

„Żużycie tego czasu służy (...) wszechstronnemu rozwojowi człowieka i równocześnie pogłębieniu jego kwalifikacji, jako pracownika. Im bardziej „ludzka” staje się praca, tym ważniejsze dla niej staje się to wszystko, co człowiek czyni z sobą samym.”

Mówiąc o charakterze wychowania, autor stwierdza:

„Ludzie mają być wychowywani na świadomych i odpowiedzialnych twórców rzeczywistości spo-

łecznej; rzeczywistość społeczna ma być terenem ich działania, w toku którego będą tworzyć siebie samych i świat, w którym żyją (...). Współcześnie otwierają się słuszne nadzieje, iż (...) wszystko, co zmierza do pogłębienia człowieka i do rozwinięcia w nim pełniejszego bogactwa ludzkiego, stawać się będzie równocześnie ważne dla rozwoju życia społecznego i dla rozwoju pracy.”

Potrzeba badań naukowych

Przegląd Kulturalny w artykule Bogdana Górowskiego pt. Efektywność i hamulec porusza zagadnienia efektywności badań naukowych, które obecnie stoją w centrum zainteresowania najwyższych organów. Autor pisze o szczupłości kadry naukowej, o niedostatku aparatury służącej do badań, o skromnych środkach materialnych, o braku badań kompleksowych i wreszcie o nieuzasadnionej niechęci naukowców do prac zespołowych.

„Prace zespołowe nie stały się podstawą uzyskiwania stopni doktorskich, a tym bardziej rehabilitacyjnych. Technika badań zespołowych w niewielkim tylko stopniu znajduje odbicie w programach studiów. Obawiam się, że sporo prawdy tkwi w dość smutnym dowcipie, iż łatwiej za badania zespołowe dostać nagrodę państwową, czy Nobla, niż przebrnąć przez jakiś szczebel kariery naukowej.”

Warto zaślanowić się nad ostatecznym wnioskiem autora, który twierdzi, iż dotychczasowy, przestarzały „fetyzizm organizacyjny” musi szybko ustąpić miejsca nowoczesnemu myśleniu, trzeźwemu rozsądkowi i dążeniu do jak najlepszej realizacji dalekosiężnych planów rozwoju nauki.

Sytuacja literatury polskiej

Nowa Kultura i Życie Literackie drukują hagi-menty referatu wygłoszonego na zjeździe ZLP przez Ryszarda Matuszewskiego. Referat ten składa się z trzech części. Pierwsza dotyczy sytuacji naszej twórczości na tle przemian i nowych za-